



**MARTA
KUCHARSKA**



**IRGA KARMIONA
PRZEZ LAWINĘ**

MARTA KUCHARSKA
IRGA KARMIONA PRZEZ LAWINĘ



WYDAWNICTWO J WROCŁAW 2019

– By móc się spotkać, choć jedno musi być w drodze – powiedziała na głos.

„By móc się spotkać, choć jedno musi być w drodze”, powtórzyłam, próbując utrzymać wiatr w liściach. Nie, nie chciałam dać po sobie poznać, że mnie to rusza. Że to coś znaczy. Skuliłam się w sobie tak bardzo, że nawet ptaki nie były w stanie dostać się między gałęzie. Moje liście przybrały siny odcień, jakby brakowało im powietrza. A przecież nie mogło brakować. Nie było mrozu. Jesienne słońce nadawało pomarańczowy odcień jarzębinom i rudzikom. Cały październik był złotousty. Klony, brzozy i modrzewie. Wiązy, dęby i osiki. Zielone dziecięcy przeskakiwały to tu, to tam, beztrudno jak w środku lata. A lato przecież już dawno odeszło, choć staraliśmy się nie dać po sobie poznać.

Ja też starałam się nie dać po sobie poznać, choć było trudno. Liście mi zsiniały i skuliłam się do środka jak na wiatr, i to taki, co drzewa przewraca jak zapałki. Były i już ich nie ma, mówili po takim wietrze o niektórych drzewach, a woda zmywała ich historie, kawałki kory i omszałe konary. Potem te historie spływały potokiem coraz szerszym i coraz bardziej obojętnym. W końcu trudno przeżywać każdą jedną historię cały czas od nowa i tak samo, szczególnie gdy niesie się ich całe mnóstwo. Był las i go nie ma, śpiewały drzewa, które się ostały. Był las i go nie ma, śpiewały przez kolejny rok, ale już rzadsze i cichsze. I trudno je o to winić.

Czemu nagle wpadła w taki popłoch, mógłby ktoś spytać. I spytał.

Był to gil zwyczajny, Pyrrhula pyrrhula, który sfrunął pode mnie, szukając czegoś słodkiego. Zaczerwieniłam się jak jabłko, bo zawsze głupio przyznawać się do swoich słabości. Już lepiej byłoby unieść się dumą i odwrócić kota ogonem. A potem rysia ogonem, dzika ogonem i wiewiórki ogonami. Ale trudno mi było wyobrazić sobie taki las, gdzie wszyscy tak ogonami. Więc spurpurowiałam jeszcze bardziej.

A powód był jeden: bo skoro ktoś musi być w drodze, a nie mogę to być ja, to znaczy, że ty musisz być w drodze, więc może cię tu nie być. Bo jak wyobrazić sobie jednocześnie, że jesteś w drodze i że cały czas leżysz w moim cieniu, w moich rękach i w ramionach. To już samo w sobie jest sprzeczne i wiedzą o tym najmłodsze pisklaki. By móc się spotkać, ktoś musi być w drodze, powtarzałam w myślach i przeklinałam tę miłość. Gdybyś była też irgą albo kosówką, byłoby inaczej. Rosłybyśmy koło siebie do końca świata. Ale nie. Ty musiałaś być psem, ciebie droga musiała przynieść i teraz ta sama droga upominała się o ciebie. Hej, hej, wołała droga, wskazując ci to mysz, to wróbla. Hej, hej, wołała droga, a za nią kolejne. A ja, co mogłam ci dać? Przyjemny cień? Niejadalne owoce? Schronienie przed deszczem? Niewiele więcej.

Całe dzieciństwo chciałam być psem. Biegać między łopianem i komosą, tarzać się w liściach, zbierać pęknięte ślimaki. Przynosić w sierści wianuszki nasion i kleszczy. Łapać ryby albo podkopywać się do kretów. Albo jeszcze lepiej – być ptakiem. Polecieć hen, na Mazowsze, a potem skręcić na północny zachód i ujrzeć morze. Zimą udać się do Afryki. Zobaczyć pustynię i targowisko w Fez. Brodzić w błękitnej wodzie razem z flamingami. Zobaczyć na żywo słonie. Małpy. Baobaby. Ale byłam uziemiona. Skazana na słuchanie o rozrywkach ptaków. Skazana na słuchanie o rozrywkach psów. Szlag by to trafił.

Zastanawiałam się czasem, czy moje życie było przez to uboższe. Uboższe, bo nie latam, nie biegam, nie szwendam się wte i wewte? Cały las zresztą nad tym się zastanawiał. Czy życie lasu jest uboższe przez to, że las rośnie w miejscu? Zaprzyjaźnione dęby twierdziły, że nie, podając za przykład niektóre z ptaków, które miały fiu-bździu w głowie. I żadna podróż im nie pomoże, pocieszały, gdy wątpliwości osaczały mnie jak sina mgła. Dęby oczywiście miały rację. Rosnąc w miejscu, doświadczyliśmy niejednego. Obserwowaliśmy wędrówki, zbieraliśmy historie. Byliśmy świadkami godów i polowań. Burz, deszczów, schodzących z gór lawin, które wielu już pogrzebały, innych dotkliwie poturbowały, a jeszcze innym tylko przetoczyły się tuż pod nosem. Kwestia szczęścia. Metr w jedną bądź drugą stronę. Więc tak, dęby też miały rację, jednak gdy ją poznałam, zrozumiałam, że chciałabym być taka jak ona.

Był złotousty listopad. Cała dolina w świetle. Rudziki zbierały czerwone owoce, których nie mogłam utrzymać w ramionach. Musiała biec już dość długo, bo gdy znalazła się bliżej, usłyszałam, jak dyszy, a w powietrzu rozniósł się zapach wilgotnej sierści. Nie pytając o pozwolenie, położyła się w moim cieniu. Nim zdążyłam zareagować, wyszczełała, szczerząc się do mnie radośnie:– By móc się spotkać, choć jedno musi być w drodze.

Zamierzałam dać jej oschle do zrozumienia, że narusza moją prywatność, jednak gdy ujrzałam jej oczy... To były oczy, na które czekałam. To było ciało, o które od razu stałam się zazdrosna, bo wiedziałam, że nigdy nie będzie moje.

– Chciałabym być taka jak ty – powiedziałam do psa. Od tamtej pory spotykałyśmy się niemal każdego popołudnia. Czasami robiła mi niespodzianki i przybiegała rano. Niekiedy zostawała na noc, wtulona w moje ramiona. „Idź już, mówiłam, bo będą cię szukać”. „Idź już”, mówiłam, bo pamiętałam, jak ludzie uzbrojeni w strzelby zabili w moich objęciach zająca. Ale nie chciała, odwlekała ten moment. Spijałam z jej sierści słodki zapach łąki i lasu.

– Skąd się tu wzięłaś? – spytała mnie kiedyś.

Skąd się tu wzięłam? Podobno z deszczu, bo deszcz padał obficie tamtej wiosny, kiedy się urodziłam. Choć sarny mówiły, że z wiatru, a jeszcze ktoś, że z dłoni człowieka.

– A rodzice? Rodzeństwo? – dociekała.

Cały wieczór opowiadałam jej więc o kosówce i dębie szypułkowym, z którymi spędziłam dzieciństwo. Dąb był trochę starszy, ale nie przeszkadzało nam to porozumiewać się bez słów. Nauczył mnie rozpoznawania zmian pogody i pieśni o lawinach, przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

– A kosówka?

– A kosówka, jak ryjówka, cały czas coś kręci – zaśmiałam się. Tego wieczoru obiecała, że zostanie ze mną na zawsze.

Czym jest miłość i czy nie przekleństwem? Gdyby nie miłość, nie zostałyby na noc. Nie zasnęłyby i nie uspiła mojej czujności, bo gdy spała przy mnie, słyszałam już tylko jej oddech. A lawina zeszła cicho i gwałtownie. Dopiero nad ranem silny wiatr zaczął odsłaniać ofiary.

– By móc się spotkać, choć jedno musi być w drodze – powiedziałam na głos, zaspana, i rozejrzałam się leniwie. Powoli docierało do mnie, co wydarzyło się w nocy. Na szczęście nie było jej tu. Uciekła, odetchnęłam z ulgą. Jak to dobrze, że uciekła, szeleściłam.

– By móc się spotkać, choć jedno musi być w drodze – wiatr zadął mocniej, odsłaniając jej ciemnorude ciało. Zakrzyknęłam. Nawet nie drgnęła, choć patrzyła na mnie ciemnymi, otwartymi, nieruchomymi ślepiami. Jej ciężka łapa nie poruszyła się, gdy przysiadł na niej gil. „Won stąd!”, odgoniłam go. „Won stąd!”, powtórzyłam i załkałam tak głośno, że echo obudziło ciszę.